



### ■ Macron i Merkel w USA - różne role, podobna skuteczność

Jadwiga Kiwerska

Przesunięcie przez administrację Donalda Trumpa o jeden miesiąc, czyli do 1 czerwca 2018 r., decyzji w sprawie wyłączenia Unii Europejskiej z karnych ceł na stal (wyższych o 25 %) i aluminium (o 10 %), rodzi pytanie, czy był to efekt wizyt w Waszyngtonie francuskiego prezydenta Emmanuela Macrona (23-25.04.2018) i niemieckiej kanclerz Angeli Merkel (27.04.2018). Oba te wydarzenia, choćby dlatego, że miały one miejsce jedno po drugim i w tak ważnym dla relacji transatlantyckich momencie, stały się powodem do porównywania ich charakteru, znaczenia i skuteczności.

Czas wizyt dwojga ważnych przywódców europejskich był nieprzypadkowy i wiązał się nie tylko z deadline dla podjęcia decyzji przez Białą Dom w sprawie podniesienia ceł dla UE, co groziłoby wręcz wojną handlową między USA a Europą/ Niemcami - wszak UE szykowała się w rewanżu do wprowadzenia ceł na towary importowane z USA. Chodziło również o wywarcie presji na prezydenta Trumpa w kwestiach o politycznym znaczeniu, ważnych dla bezpieczeństwa międzynarodowego, takich jak Syria, porozumienie nuklearne z Iranem - o jego losach USA mają zdecydować 12 maja br., czy przyszłość układu transatlantyckiego, wobec którego obecny gospodarz Białego Domu nie pozbył się sceptycyzmu.

Różnica stanowisk między Waszyngtonem a Berlinem i Paryżem co do utrzymania w mocy zapisów porozumienia nuklearnego z Iranem (*Joint Comprehensive Plan of Action - JCPOA*), podpisanego 14 lipca 2015 r. i dotyczącego wstrzymania przez Teheran prac nad programem nuklearnym w zamian za zniesienie sankcji, potwierdziła, jak bardzo obecna administracja amerykańska odchodzi od pewnych zasad współżycia międzynarodowego. Lekceważenie ważnego porozumienia, wynegocjowanego z trudem i sygnowanego - obok m.in. Francji i Niemiec - także przez USA, a nazwanego przez Trumpa „katastrofą”, gdyż

#### Redakcja:

Radosław Grodzki  
Jacek Kubera  
(redaktor naczelny)  
Piotr Kubiak  
Krzysztof Malinowski

#### Korekta:

Hanna Różanek

Nr 343/2018

04.05.18

ISSN 2450-5080

Biuletyny dostępne  
także dzięki:  
NEWSLETTER IZ  
FACEBOOK  
SCRIBD  
LINKEDIN  
TWITTER

- jego zdaniem - nie blokującego irańskich planów, dowodziło stricte unilateralnego podejścia nowej administracji do działań na arenie międzynarodowej, zastosowanego już zresztą wcześniej wobec paryskiego porozumienia klimatycznego, od którego Trump się odciął (1.06.2017). W Berlinie i Paryżu obawiano się, że odrzucenie JCPOA to m.in. wzrost napięcia w regionie oraz ponowne skomplikowanie relacji handlowych Europy z Iranem, odbudowywanych z trudem po okresie jego izolacji.

Z kolei zapowiedź Trumpa wycofania amerykańskich wojsk z Syrii można wiązać z jego przekonaniem, że Amerykanie już wystarczająco dużo zrobili dla tego regionu świata, niewiele w zamian otrzymując i dlatego jego pragnieniem jest teraz, gdy „Państwo Islamskie” prawie legło w gruzach, ściągnąć amerykańskich żołnierzy do kraju. Takie słowa niewątpliwie padały na podatny grunt w Ameryce. I chociaż wojskowa operacja amerykańsko-francusko-brytyjska (13/14.04.2018), wymierzona w reżim Basara al-Asada, stosującego broń chemiczną, dowodziła raczej determinacji do zachowania wpływów amerykańskich na Bliskim Wschodzie, to jednak emocjonalna labilność Trumpa niczego nie gwarantowała. Zarówno we Francji, jak i w Niemczech zdawano sobie sprawę, że wycofanie się USA z Syrii to otwarcie drogi do dalszej destabilizacji obszaru bliskowschodniego i wzmocnienia rywalizacji, w której Rosja, Turcja i Iran będą grały „pierwsze skrzypce”. Ze szkodą dla interesów Zachodu.

Nie zniknął problem przyszłości i bezpieczeństwa wspólnoty transatlantyckiej, mimo że przed kwietniowymi podróżami Macrona i Merkel do USA nie był stawiany na pierwszym planie w agendzie spraw. Nie ulegało jednak wątpliwości, że prezydentura Trumpa stanowi nadal ogromne wyzwanie dla relacji transatlantyckich - podważa wiele elementów tworzących ich fundament, w tym zasady liberalnego porządku. Z kolei kategoryczne stawianie kwestii *burden sharing* wbrew pozorom wcale nie służyło umocnieniu rangi NATO, a tylko eksponowało buchalteryjne podejście Trumpa do relacji z sojusznikami. Pojawiały się więc głosy, zwłaszcza w Niemczech, o konieczności budowy strategii „postatlantyckiej”, niezależnej od USA.

Jest też faktem, że uznając prezydenturę Trumpa za problem dla relacji transatlantyckich, inaczej zdecydowano się ją traktować w Berlinie i Paryżu. Podczas gdy kanclerz Merkel, po nie najlepszych doświadczeniach wyniesionych ze spotkań z prezydentem Trumpem, zdecydowała się w maju 2017 r. na ważne oświadczenie, że „czasy, gdy mogliśmy się całkowicie oprzeć na innych, dobiegły końca (...). My, Europejczycy, musimy wziąć nasze sprawy w swoje ręce” oraz nie przestała eksponować zasad i wartości, które wiązały dotąd wspólnotę transatlantycką, a zostały podważone przez Trumpa, to prezydent Macron okazał się większym pragmatykiem. Spotykając się kilkakrotnie *tête-à-tête* z Trumpem, a w lipcu 2017 r. zapraszając go do Paryża na obchody Dnia Bastylli, co było wyjątkowym uhonorowaniem kontrolerskiego gospodarza Białego Domu, kierował się dobrze skalkulowanym zamiarem zacieśnienia stosunków francusko-amerykańskich. Uznał, że pomimo różnic w podejściu do wielu kwestii - klimatu, porozumienia z Iranem, wolnego handlu czy rangi UE, warto zabiegać o dobre relacje z Trumpem i na tym budować silną pozycję Francji w Europie i świecie.

Odchodząc od francuskiej zasady utrzymywania dystansu wobec Waszyngtonu, prezydent Macron wyraźnie ingerował w istniejący do niedawna amerykańsko-niemiecki układ „partnerstwa w przywództwie”, gdy to Merkel była najbliższym sojusznikiem

prezydenta Baracka Obamy i przez niego została niemal uznana za lidera wolnego świata. Wykazując - w odróżnieniu od Merkel - większą gotowość do dialogu z Trumpem i podejmując go z honorami, to Macron zdawał się aspirować teraz do statusu najważniejszego europejskiego partnera Ameryki. Jego zabiegi spotkały się zresztą z przychylnością ze strony Trumpa, mile usatysfakcjonowanego możliwością obserwowania 14 lipca imponującej parady wojskowej na Polach Elizejskich, a potem biesiadowania na wieży Eiffla.

Trump zrewanżował się odpowiednio, nadając kwietniowej wizycie Macrona w Waszyngtonie status państwowej, podczas gdy Merkel dwa dni później odbyła tylko kilkugodzinną podróż roboczą. Znaczenie wizyty Macrona podnosił fakt, że dostąpił rzadkiego szczytu przemawiania przed połączonymi izbami Kongresu - dodajmy dla porządku, że kanclerz Merkel wystąpiła na Kapitolu w listopadzie 2009 r.

Polityczną rangę prezydenta Francji w oczach Trumpa wzmacniało też doświadczenie niedawnej wspólnej operacji wojskowej w Syrii, w której Niemcy nie uczestniczyły i nawet nie brano tego w Berlinie pod uwagę. Z pozoru mogłoby się wydawać, że Macrona więcej dzieli z Trumpem niż łączy. Tymczasem - jak dowodził sam prezydent Francji w wywiadzie dla Fox News (22.04.2018) - obaj doszli do władzy wbrew politycznemu establishmentowi w swych krajach i z silnym zapałem skutecznego działania. Angażując się mocno na rzecz reformy UE, aby uczynić z niej bardziej sprawnego gracza na arenie międzynarodowej i potwierdzić jej atut jako ambitnego projektu europejskiego, Macron przybywał więc do Waszyngtonu - jak to określano - niczym „nowy przywódca wolnego świata” lub przynajmniej chciał być w takiej roli widziany.

Tym bardziej że ranga polityczna Merkel była znacznie słabsza niż rok wcześniej, gdy pierwszy raz spotkała się w Białym Domu z Trumpem. Wtedy nie kwestionowano jej silnej pozycji na arenie europejskiej i spodziewano się, że będzie to docenione w Waszyngtonie. Tak się nie stało - Trump jakby nie dostrzegł ani roli Merkel, ani potencjału Niemiec, uznając je przede wszystkim za gospodarczego konkurenta i nieuczciwego kontrahenta („very bad on trade”), bo z ogromną nadwyżką w handlu z USA. Teraz szefową niemieckiego rządu ostabiły zawirowania powyborcze, a spektakularność pobytu Macrona w USA rzuciła cień na jej wizytę o roboczym charakterze. Wprawdzie nie powinno się na arenie międzynarodowej, gdzie dominują interesy i zasady, przeceniać wagi relacji osobistych, to jednak w tym przypadku sympatie mogły mieć wyjątkowo duży wpływ na rezultaty spotkań. Merkel z pewnością nie miała tutaj komfortowej sytuacji.

Z pozoru mogło się wydawać, że wizyta francuskiej pary prezydenckiej to pełen triumf Francji i jej przywódcy. Względy okazywane prezydentowi Macronowi w Waszyngtonie napawały dumą wielu Francuzów - mogli czuć, że Francja znów jest wielka. Ponadto Trump i Macron epatowali gestami, nieraz aż przesadnymi, które potwierdzały ich wzajemną sympatię i serdeczność, a w wystąpieniach padały zapewnienia o silnych, historycznych związkach amerykańsko-francuskich i osobistej bliskości.

Znalazło to odbicie w komentarzach francuskiej prasy, gdzie zwracano uwagę głównie na kontrast między rangą wizyty Macrona a krótkim pobytem Merkel. Pojawiły się stwierdzenia, że z perspektywy prezydenta Trumpa to Macron zajął miejsce

niemieckiej kanclerz jako lider Europy. Tak zresztą został odebrany przez większość amerykańskich obserwatorów - jako następca Merkel w roli „symbolic leader”.

Gdy jednak przejść do konkretów, to w najważniejszych dla Europy sprawach zabrakło przetomu i nie było wielkiej przesady w stwierdzeniu, że „Macron wrócił z USA z pustymi rękami”. Raczej nie udało się przekonać Trumpa, aby strona amerykańska dalej realizowała ustalenia zawarte w dokumencie *JCPOA*. I to mimo stwierdzeń Macrona, że porozumienie z 2015 r. to zaledwie pierwszy etap w blokowaniu irańskiego programu nuklearnego i możliwe jest jego uzupełnienie kolejnymi umowami. Widocznie determinacja Macrona, aby przekonać do swych racji Trumpa, była tak duża, że zmienił swoje wcześniejsze stanowisko, gdy w wywiadzie telewizyjnym mówił, że nie ma alternatywy dla porozumienia z Iranem. Raczej nie zdało się to na wiele. Jego amerykański interlokutor był niewzruszony w swym krytycznym osądzie *JCPOA*, mówiąc podczas wspólnej konferencji prasowej, że to „zła umowa” i „nie należało jej zawierać”.

Nie udało się też przekonać Trumpa do znaczenia porozumienia klimatycznego i udziału w nim USA, abdykujących z pozycji światowego lidera w walce z ociepleniem klimatu. Nie było dogadania się w kwestii Syrii - Trump nie przesądził, czy USA wycofają swój kontyngent wojskowy, umożliwiając eskalację wpływów Moskwy i Teheranu. Wysiłek Macrona sprowadzał się do deklaracji, że sojusznicy z Europy mogą włączyć się w proces odbudowy Syrii i przywracania stabilizacji. Uderzała więc otwartość prezydenta Francji i jego wysiłek niwelowania różnic, które skonkludował stwierdzeniem o „sporach w rodzinie”.

Podczas wizyty Macrona zabrakło deklaracji ze strony Trumpa, co się stanie w sprawie ceł na towary importowane z UE. Wprawdzie w tej kwestii francuski prezydent zbyt nie naciskał, mając świadomość, że jest to problem numer jeden dla Niemiec, ważnego eksportera towarów do USA. A ponadto w kilku punktach dostrzec można spójność poglądów jego i Trumpa, jak choćby w kwestionowaniu niektórych przejawów globalizacji. Ale pomimo tego podczas wystąpienia w Kongresie prezydent Macron wyraźnie opowiedział się za utrzymaniem liberalnego ładu w handlu, a przeciwko podnoszeniu ceł i preferowanym przez Trumpa bilateralnym umowom handlowym.

Zresztą wystąpienie Macrona na Kapitolu (25.04.2018) stanowiło w dużym stopniu antytezę poglądów prezydenta Trumpa. Było to swego rodzaju wyznanie wiary w wartości liberalne i demokratyczne, zaangażowanie międzynarodowe i multilateralizm, a sprzeciw wobec izolacjonizmu i tendencjom nacjonalistycznym oraz unilateralnemu. Prezydent Francji, odnosząc się do kwestii ochrony klimatu, lekceważonych przez Trumpa, powtórzył swą głośną frazę, że nie mamy planety B, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie widzi alternatywy dla walki z ociepleniem klimatu. Powrócił temat umowy z Iranem i jasna deklaracja Macrona, że Teheran nigdy nie może posiadać broni nuklearnej, a istniejące porozumienie ma swą wartość, jakkolwiek nie w pełni satysfakcjonującą i wymagającą uzupełnienia.

Kierując z Kapitolu przesłanie, które de facto było krytyką postawy Trumpa, ale też apelem o większą akceptację dla racji przedkładanych przez sojuszników, Macron jakby sugerował, że niewiele udało mu się osiągnąć w Waszyngtonie. Starał

się też nie dopuścić do dominacji wrażenia, pojawiającego się już w komentarzach, że został przez Trumpa, gdy ten usuwał niewidoczny pyłek z jego marynarki lub prowadził go za rękę, upokorzony („humiliated”) i grozi mu syndrom Tony’ego Blaira, którego pogrzebała na scenie politycznej zbyt duża zażyłość z nieulubianym George’em W. Bushem. Dlatego Macron manifestował w Kongresie swoje poglądy oparte na wartościach, które zasadniczo odbiegały od pryncypialnego dla Trumpa hasła „America First”.

Odczucia o jakimkolwiek upokorzeniu na pewno nie towarzyszyły spotkaniu kanclerz Merkel z prezydentem Trumpem. Komentatorzy byli nawet zgodni, że gospodarz starał się tym razem okazać szefowej niemieckiego rządu dużo rewerencji i uznania. Wręcz manifestował serdeczność, a gratulując jej kilkakrotnie zwycięstwa wyborczego, nie omieszkał użyć określenia „extraordinary woman” oraz dowodzić znaczenia wzajemnych relacji. Cóż, mimo wszystko waga Niemiec w polityce USA polegała na gospodarczych i politycznych współzależnościach. Równocześnie jednak wrażenie ze spotkania tych dwojga przywódców nie pozostawiało złudzeń, aby istniało między nimi zrozumienie i spójność poglądów.

Wbrew oczekiwaniom temat ewentualnego podniesienia ceł, fundamentalny z niemieckiej perspektywy, został na konferencji prasowej jedynie wzmiankowany. Podczas gdy Trump koncentrował się na odpowiedzialności międzynarodowych instytucji, takich jak WTO, traktujących - jego zdaniem - Amerykę nieuczciwie, to Merkel skwitowała problem stwierdzeniem, że decyzję w tej sprawie podejmie amerykański prezydent, co mogło sugerować, że niewiele mogła w tej sprawie zdziałać. Ale było niewykluczone, że jednak Trump przyjął koncyliacyjną postawę, doceniając np. fakt, że niemiecka nadwyżka w handlu z USA spadła w 2017 r. o 10 %.

Kanclerz Niemiec, bardziej niż prezydent Francji, stała się natomiast adresem pretensji Trumpa odnoszących się do *burden sharing*. Tradycyjnie już zarzucono europejskim sojusznikom brak odpowiedniego udziału w finansowaniu zdolności obronnych NATO. Szefowa niemieckiego rządu usłyszała, że nawet zakładane 2 % PKB na obronność nie odpowiada oczekiwaniom strony amerykańskiej, nie mówiąc już o wkładzie Niemiec (niespełna 1,2 % PKB), odbiegającym od ich potencjału (Francja - 1,7 %). Cóż, Merkel mogła tylko zapewnić, że Europa i Niemcy muszą wziąć na siebie większą odpowiedzialność za bezpieczeństwo. Nie omieszkała jednak zaznaczyć, że niemiecką powściągliwość trzeba wiązać z historycznym doświadczeniem, żywym ciągle w Europie.

Odnosząc się do kwestii porozumienia z Iranem, kanclerz Merkel wyraźnie współbrzmiała ze stanowiskiem prezydenta Macrona, że *JCPOA* „to załedwie pierwszy krok, który wymaga kontynuacji”. Potwierdzały się przypuszczenia, że Merkel i Macron traktowali swe wizyty w Waszyngtonie, jakkolwiek o różnym charakterze, jako element wspólnej ofensywy wobec prezydenta Trumpa - taktyka dotąd raczej przez przywódców Francji i Niemiec nie stosowana. Sytuacja wymagała jednak wyjątkowych środków oraz połączenia wysiłków. Ale czy skutecznie, trudno powiedzieć.

Wrażenie niepewności co do rezultatów spotkania Merkel i Trumpa dominowało w komentarzach niemieckich mediów. Przyznając, że przebiegało ono w lepszej atmosferze niż poprzednie, choć oprawą znacznie ustępując wizycie prezydenta Francji,

to jednak wątpiono, czy Merkel udało się osiągnąć w Waszyngtonie cokolwiek więcej niż Macronowi, w tym przekonać Trumpa do zachowania porozumienia z Iranem. Pozostała też niepewność co do przyszłości relacji transatlantyckich. Zdaniem niemieckich ekspertów - „Europa jest traktowana przez Trumpa jak kłopotliwy klient i obciążenie, a nie korzyść”. Za układ transatlantycki strona amerykańska oczekuje teraz zapłaty: „Nadszedł czas wystawiania przez Waszyngton rachunku - oto nowa rzeczywistość”.

W tej sytuacji decyzja administracji Trumpa przedłużająca o miesiąc wyłączenie państw UE spod karnych ceł, chociaż ostatecznie niczego nie rozstrzygająca, a tylko umożliwiająca dalsze negocjacje, może być jednak odebrana jako gest dobrej woli ze strony amerykańskiego prezydenta. Czy jest to bezpośredni skutek wizyt dwojga przywódców europejskich w Waszyngtonie - trudno przesądzić.

Raczej trzeba przyjąć, że Trump pozostaje nieugięty w swych postanowieniach i ani Macron, będący z nim w serdecznych relacjach, ani Merkel, za którą stoi potencjał państwa niemieckiego, nie byli w stanie przekonać go do swych najbardziej nawet uzasadnionych racji. W tym przypadku nie liczy się siła argumentów. Trzeba raczej brać pod uwagę nieprzewidywalność obecnego gospodarza Białego Domu i decyzje, które zapadają pod wpływem emocji lub wąsko pojmowanego interesu w myśl hasła „America First”. Takie czynniki będą miały wpływ na to, jaka decyzja zapadnie 12 maja br. w sprawie porozumienia z Iranem, a także czy będziemy mieli do czynienia z wojną handlową między USA a UE. Nastąpiły więc „ciężkie czasy dla partnerstwa amerykańsko-europejskiego” - konkludował swą relację z USA korespondent „Die Zeit”. Trudno się z nim nie zgodzić.

Tezy zawarte w tekście wyrażają jedynie opinie autora.

**Jadwiga Kiwerska** - prof. dr hab., pracownik Instytutu Zachodniego i Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.